

Prolog

Córki Marianny i Władysława Lisieckich urodziły się w letnie, parne popołudnie, kiedy ich ojciec w lepkiej od potu koszuli ocierał zroszone czoło, a pracujący na polach chłopi stali się na nogach. Władysław każdego roku czynnie uczestniczył w żniwach. Wychodził z założenia, że każda para rąk jest potrzebna do pracy i jego dłonie w niczym nie są lepsze od chłopskich. Z zapatem kosił zboże, czym dawał przykład parobkom utyskującym na nieznosne warunki. Nie narzekał, nie uchylał się od obowiązków. Z dumnie podniesionym czołem parł przed siebie i cieszył się z dorodnego plonu. Na tyle zapamiętał się w robocie, że nie zauważył niewielkiego skaleczenia na nodze.

Późnym wieczorem udał się do domu. Zaraz dopadła go ochmistrzyni i skierowała do pańskiej sypialni. Zmęczony mężczyzna wszedł do pomieszczenia bez większego entuzjazmu. Jedyne, czego pragnął to strawy, kąpieli i długiego odpoczynku. Tymczasem jego oczom ukazał się biblijny niemal widok. Oto matka przystawiała do nabrzmiałej piersi kwilące zawiniątko. Dostrzegłszy męża, Marianna uśmiechnęła się lekko, wciąż odczuwając skutki wielogodzinnego porodu. Władysław na chwiejnych nogach podszedł do łóża. Naraz jakby wstąpiły w niego nowe siły. Spoczął obok położnicy, roziskrzonym wzrokiem wpatrywał się w matkę swego dziecka, wylewnie dziękując za sprowadzenie maleństwa na świat. Wówczas Marianna resztkami sił głową wskazała na kotłuskę. Zdumiony Władysław dojrzał leżące spokojnie dziecko. Przenosił więc wzrok z jednego maleństwa na drugie, jakby sprawdzał, czy nie doznał pomieszania zmysłów.

– Mamy dwie dziewczynki – powiedziała cicho Marianna. Niepewnie czekała na reakcję męża. Mężczyźni oczekiwali synów, córki, w dodatku dwie naraz, stanowiły kłopot. Wszak należało wyposażyć je w solidnej wielkości posag, a rodu nie przedłużać.

– Są idealne – powiedział wzruszony Władysław po długiej chwili milczenia. Z namaszczeniem przejął niemowlę z rąk żony, przyglądał się bezradnej istotce i już snuł plany na jej przyszłość. – Nasze córki będą piękne, charakterne i szczęśliwe.

Oddał dziecie rodzicielce. Sam upojony radością namiętnie pocałował Mariannę, po czym wyszedł i zarządził toast za zdrowie dzieci. O swojej doli nie wspomniał, choć i jemu przydałyby się szczere życzenia.

Następnego dnia nie wstał z postania. Majaczył, złożony gorączką. Sprowadzony z miasta doktor orzekł zakażenie krwi. Rana zadana kosą jątrzyła się i ropiała. Upuszczanie krwi nie dawało rezultatów. Tydzień później Lisiecki wyzionął ducha.

Naznaczona tragedią Marianna nie interesowała się dziećmi. Ochmistrzyni najęta dwie mamki, sprowadziła lekarza do wdowy. Medyk stwierdził głęboką melancholię, czemu trudno się było dziwić, zważywszy na okoliczności. Nakazał parzenie ziół i obserwowanie biedaczki. Służki pilnowały zatem, by pani Marianna jadła, przynosiły córeczki do pokoju, lecz kobieta nie spoglądała w stronę dziewczynek. Podświadomie obwiniła je o śmierć Władysława. Wszak straciła go, gdy spotkał się z nimi po raz pierwszy. Odganiała się od Matyldy i Elizy niczym od natrętnych much. W końcu nieznoszącym sprzeciwu głosem poleciła trzymać maleństwa z dala od siebie.

Po złożeniu Władysława w rodzinnym grobowcu z trudem zniósła konsolację, podczas której z obojętnością przyjmowała liczne kondolencje. Pod przykryciem z czarnego woalu kryła się

kredowobiła twarz naznaczona cierpieniem. Zgromadzeni współczuli jej w żałobie, litowali się nad sierotami, zastanawiali nad przyszłością rodu. Co oczywiste, brat zmarłego przejął kierowanie dworem, bo Marianna nie nadawała się do jego prowadzenia.

Tydzień później Lisiecka wyjechała do Warszawy, do matki i ojca. Z konieczności zabrała córki. Szwagier obiecał przekazywać jej procenty z zysków, lecz te mały w miarę upływu czasu, aż źródło dochodów całkiem wyschło.

Rodzinie Marianny nie wiodło się najlepiej. Utrzymanie córki oraz wnuczek sporo ich kosztowało, nieraz więc dawali jej do zrozumienia, że jest ciężarem. Jednakowo namawiali ją do powtórnego wyjścia za mąż, bez wybrzydzenia na kandydata, bo kobietę z prychówkiem określano jako towar wybrakowany, nienadający się do powtórnego użytkowania. Zdesperowana Marianna przyjęła oświadczenia czterdziestoletniego fabrykanta, zatwardziałego kawalera o surowej fizjonomii i skostniałym spojrzeniu. Julian Koszecki zabrał żonę do siebie, na dziewczynki kręcił nosem, ale zaakceptował ich obecność w domu. Mimo wielokrotnie podejmowanych prób para nie doczekała się wspólnych dzieci. Marianna trzykrotnie zachodziła w ciążę. Pierwszą straciła zaledwie kilka dni po wizycie lekarza. Drugą poroniła na miesiąc przed rozwiązaniem. Najtragiczniejsza okazała się trzecia. Marianna, teraz Koszecka, urodziła wątłego chłopca, który przeżył niecałą dobę. Sąsiedzi i znajomi, jak również żadna sensacji śmietanka towarzyska powtarzała, że żona Juliana nigdy nie powije mu zdrowego potomka, bowiem w głębi duszy odeszła wraz z Władysławem i już nie powoła na świat zdrowego dziecka. Zresztą każdy widział, jak źle wyglądała. Przeraźliwie chuda, z zapadniętymi policzkami, zmatowiałymi włosami, całe dnie spędzała w fotelu ustawionym przed oknem wychodzącym na ulicę. Nie zajmowała się Elizą i Matyldą, nie zajmowała się domem ani mężem.

Julian nieraz jeszcze doprowadzał do zbliżenia, lecz po tym z obrzydzeniem wstawał z łóżka, uderzał Mariannę w twarz, chcąc pobudzić ją do życia, po czym rugał za bezużyteczność. Pastwił się nad biedaczką, nie dostrzegając, że znajdowała się w jego domu jedynie ciałem. Dzieciaczki traktował niczym dopust boży. Córki innego mężczyzny były ujmą na honorze, szczególnie jeśli nie posiadało się własnych. Gdyby nie dobre serce gospodyni, poczciwej Maciejowej, co odchowala własne dzieci i doglądała jaśnie pana w latach szczenięcych, bliźniaczki czekałyby okrutny los. Dbała, żeby właściwie się chowały, karmiła, pielęgnowała w chorobie, ocierała łezki, gdy matka odrzucała spragnione miłości istotki. Ona też po śmierci pani Marianny nie zostawiła ich na pastwę losu.

Koszecka odeszła w styczniową, mroźną noc. Wyszła z kamienicy na Krakowskim Przedmieściu bez butów, w koszuli nocnej. Zmarznięta, ledwie żywa dotarła pod kościół Kapucynów, gdzie zległa przed zamkniętymi drzwiami. Rankiem zsiniałe ciało znalazł jeden z zakonników.

W cichym pogrzebie wzięło udział zaledwie kilka osób. Julian nie rozgłaszał wieści o nagłym wdowieństwie. Ogarniało go zażenowanie na myśl o tym, jak będzie potraktowany przez towarzystwo, kiedy plotkary dowiedzą się, co uczyniła Marianna. Już ksiądz kręcił nosem na pochówek w poświęconej ziemi. Uważał bowiem, że kobieta targnęła się na życie, a dla takich nie było miejsca na parafialnym cmentarzu, zwłaszcza w centralnej części, gdzie znajdował się rodzinny grób Koszeckich. Marudził, narzekał, zastanawiał się, co ludzie powiedzą, wskazywał doskonałą, jego zdaniem, lokalizację dla mogiły – pod płotem. Zmienił zdanie po przygarbieniu kiesy wypełnionej monetami. Zapewnił wówczas, że uroczystość odbędzie się zgodnie z ceremoniałem. Prosił jednocześnie, aby odbyła się bez tłumów, na co Julian przystał bez sprzeciwu.

W równie cichy sposób postanowił pozbyć się Matyldy i Elizy. Niespełna trzyletnie dziewczynki nigdy nie skradły jego serca. Nie żywił do nich żadnych uczuć poza zazdrością. One przecież żyły, a jego dzieci, poza synkiem, któremu po dziadku ze strony ojca nadano imię Edward, nie miały nawet swojego kawałka ziemi. Długo głowił się, co począć z córkami Marianny. O oddaniu do przytułku nie było mowy, Julian nie był wszak draniem skazującym dzieci na najgorszy los. O ile orientował się w sytuacji rodzinnej żony, przewidywał, że jej najbliżsi nie zechcą przygarnąć dziewczynek. Majątkiem Lisieckich zawiadywał natomiast brat Władysława i to na nim spoczywał moralny obowiązek zajęcia się krewniaczkami.